dr Władysław Loranc

W końcu drugiej dekady transformacji stanęliśmy bezradni wobec pytań, dlaczego żyjemy biednie, niebezpiecznie, coraz bardziej zawstydzeni ośmieszaniem państwa. W pamięci zachowujemy fakty, którym zaprzeczają politycy oraz pretorianie IPN, teatralizujący wydarzenia wojenne tak, by młoda generacja uwierzyła, że historia toczyła się jak w teatrze, a nie tak, jak toczyła się naprawdę. Krew ofiar historii zamienia się przecier pomidorowy, falsyfikujący w ulicznych widowiskach śmierć setek tysięcy ludzi i piramidy gruzów. Serca zwykłych ludzi wypełnia dziś lęk przed niepewnym jutrem. Pytają: Dlaczego tak się dzieje? Co robić, by wyjąć głowę z pętli, zanim zaciśnie się ona na szyjach nowych ofiar?

Pytają nieomal wszyscy, Na odwagę odpowiedzi decydują się nieliczni. To, co tu piszę, powstało w trakcie lektury książki A. Wasilewskiego: „Czy Rzeczpospolita ma szansę na normalność”.

Esej wyróżnia się przenikliwością diagnoz, zastanawiająco trafnym osadzeniem wspomnianych już lęków w kontekście najnowszej historii Polski, a przede wszystkim odwagą w demistyfikowaniu patosu haseł i nędzy intencji.

Książka A. Wasilewskiego przeprowadza sugestywny dowód, że „moralna odnowa”, wspólne hasło obu nurtów postsolidarnościowych: PiS-u i PO, to plagiat endeckiego hasła „rewolucji moralnej” i piłsudczykowskiej „sanacji”, z którymi na progu II RP startowała ówczesna prawica. Autor udowadnia, że w tym plagiacie moralność zepchnięto do roli kapitału spekulacyjnego. Moraliści niczego nie poprawiają w sferze stosunków materialnych. Lokując hasło „odnowy moralnej” w świadomości społecznej chcą, unikając reform socjalno-gospodarczych, zdobyć szybki zysk polityczny. Nie interesuje ich fundamentalna rola pracy ludzkiej i kondycja tych, co pracują. Wzywają do łapania złodziejaszków, a kto nim jest i co zostanie uznane za złodziejstwo, rozstrzygają oni, autorzy hasła „odnowa moralna”.

Książka została napisana tak, by stworzyć ruch intelektualny, otwarcie opisując położenie kraju i sytuację jego obywateli. Ona nie zawiera programu politycznego. Przedmiotem uwagi czyni intencję obozu władzy, zwłaszcza narzucony społeczeństwu styl i treść komunikowania społecznego. Jest odkrywcza we wskazywaniu rodowodu politycznych celów. Realistyczna i przenikliwa w opisie metod i narządzi zniewalania świadomości. Demistyfikuje IPN jako księżyc, święcący światłem odbitym od słońca UB. Esej pozostanie wzorem powściągnięcia emocji w opisie obłudy, lecz bez rezygnacji z prawa od oceny intencji obłudników. A. Wasilewski pisze, że autorzy „IV RP” żądają, by „osoby, pragnie pozostać na publicznej scenie, musiały pod groźbą usunięcia z publicznego obiegu przyjąć język „Solidarności” i wszelkie zdarzenia zbiorowego życia oceniać w terminologii tego języka”.

Najmocniej skłania czytelnika do refleksji ujęcia w eseju kwestii własności społecznej i jej losów w procesie transformacji. Autor rozdarł kostium, którym otulają się politycy, pełni pomysłów jak ją zniszczyć. Przypomina im, że co do istoty rzeczy była to własność wspólna, a więc władza, zaklinająca się na demokrację, powinna jej bronić, bo nie było to mienie porzucone czy własność niczyja. Pisze: „Było o co wojować w kraju, w którym większa część majątku narodowego, skupiona była w rękach państwa i po zwycięstwie politycznym dyspozycja nim przechodziła do strony zwycięskiej”.

Kto wygrał wybory, przejmował odpowiedzialność na los majątku narodowego, a więc z tego punktu widzenia trzeba spojrzeć na rolę L. Balcerowicza, K. Bieleckiego czy Lewandowskiego. Polak świadomy swej obywatelskiej odpowiedzialności powinien pytać nie tylko o to, kto z małych złodziejaszków co ukradł, ale kto sprywatyzował trzy tradycyjne przemysły polskie:

bawełniany, wełniany i skórzany? Kto, likwidując PGR, uczynił znaczną część Ziem Zachodnich i Północnych „ziemią niczyją”, nie tylko horrendalnie zwiększając ilość emerytów, lecz oddając majątek narodowy pod administrację samozwańczych agencji. Obywatele powinni pilnować, by wspomniani już autorzy szokowych rozwiązań nie spali spokojnie, by brak snu stał się udziałem „smokingowych proletariuszy”: Oleksego, Milera, Belki oraz sporej gromady książąt kościoła z chłopskimi, niestety, rodowodami.

Książka, która wywołała notowane tu refleksje, kończy się rozdziałem „Oczekiwanie na lewicę”. Też sądzę, że w latach transformacji lewicowe partie utraciły zdolność analizy położenia kraju i programu jego rozwoju na tle integralnie postrzeganego obrazu świata. Lewica, by odzyskać znaczenie pierwszorzędnej siły politycznej, musi wybić się na polityczną reprezentację, niestety nadal zdezintegrowanych środowisk społecznych. Istotę tego postulatu sformułuję w stosunku do trzech z nich.

1. Zorganizowana lewica powinna być przede wszystkim polityczną reprezentacją pracowników „wysadzanych z siodła”, przez transformację wepchniętych w stan bezrobocia lub zagrożenia nim. Animatorzy procesu transformacji nazywają ich „ludźmi zbędnymi”, a są oni, jako właściciele siły roboczej częścią społeczeństwa realnie zdolną do równoważenia siły właścicieli kapitału. Organizowanie tych ludzi to niezbędny warunek wprowadzania społecznej gospodarki rynkowej, ochrony godności pracy i umacniania materialnej podstawy demokratycznego ustroju politycznego.
2. Zorganizowana lewica powinna konsekwentnie aspirować do roli reprezentacji nowej inteligencji, która w ¾ ma – co prawda – rodowód robotniczo-chłopski, lecz nie umiała wnieść do kultury narodowej i polskich obyczajów tych wartości, które te klasy stworzyły: szacunek do ziemi, godność pracy poręczana nierozdzielnością praw obywatelskich i pracowniczych, solidarność ludzi pracy w procesie jej wykonywania. Póki co, inteligencja nie czuje się odpowiedzialna na kontynuację emancypacji ludzi pracy, bez której kwestia demokratycznego charakteru państwa pozostanie propagandowym frazesem. Lewica powinna codziennie przypominać, że – co prawda – można zamienić słowo robotnik na robol, a słowo chłop na burak, ale nie zawróci się procesu emancypacji, który - jak się okazuje – realnie był rozwiązywany w latach PRL.
3. Zorganizowana lewica powinna być reprezentacją już zadomowionych, lecz jeszcze nie zasiedziałych Polaków, żyjących na Ziemiach Zachodnich i Północnych, które w warunkach wychodzenia z wojny słusznie nazywaliśmy Ziemiami Odzyskanymi.

Społeczno-gospodarczy rozwój tych ziem, tworzenie życia kulturalnego ich mieszkańców, w niepowtarzalnych warunkach wielkich procesów migracyjnych, jest nadal czynnikiem, od którego bezpośrednio zależy formowanie się kultury nowoczesnego narodu polskiego. W tej roli nikt, żadna siła polityczna, nie zastąpi lewicy. Zwłaszcza nie są do tego zdolne obie prawicowe partie, które pielęgnują, sięgającą saskich czasów, zdolność trzymania się „pańskich klamek”. Między nimi a zorganizowaną lewicą przebiega rozdzielająca je linia demarkacyjna. Ona przypomina najwyraźniej o misji zorganizowanych sił lewicy wobec swego narodu.

Zakończę dwoma refleksjami, nurtującym mnie od dawna, lecz wyraźnie uświadomionymi po lekturze książki Andrzeja Wasilewskiego. Zaciekłość demonstrowana w zwalczaniu PRL ujawnia, że prawica, naśladując iluzjonistów, chce unieważnić reformy z lat 1944-1989, zmieniające polskie społeczeństwo w kierunku jego otwartości i egalitaryzmu. Naiwni! Nie da się powrócić do realiów opisanych przez H. Sienkiewicza w „Za chlebem” i przez S. Żeromskiego w „Przedwiośniu”. Nikt nie unieważni reformy rolnej, dostępu do oświaty, kultury i ochrony zdrowia. Nikt nie przywróci siły megalomanii polskiej szlachty wobec Ukraińców,

Białorusinów i Litwinów. A jej ambicje, by odzyskać władzę nad narodem, ujawniają, iż jest tylko pazerna, amoralna i głupia jak hołota, zdolna jedynie do sejmikowych burd.
Wiele się mówi o spisku elit. Sprostuję. Przy „okrągłym stole” i w Magdalence porozumiały się trzy siły: partia, „Solidarność” i Kościół, co zaowocowało powstaniem programu politycznego. Nastąpił historyczny kompromis, odrzucony przez „Solidarność” w tempie wojny błyskawicznej. Program reform kraju, tak gospodarki jak i państwa, został zastąpiony wojowniczym hasłem: „Wasz prezydent, nasz premier”! Ten nieoczekiwany zamach na politykę porozumienia, usankcjonował Jan Paweł II, dyktując osłabionemu państwu konkordat, który otworzył ewolucję Polski w stronę państwa wyznaniowego. Zacytowane hasło i jego religijne błogosławieństwo zniszczyło program porozumienia zastępując go nieprzerwanymi „wojnami na górze”. W tych realiach grzęźniemy po dziś dzień. Byśmy się z nich nie wydobyli, pilnują bataliony odnowy moralnej, zwłaszcza ten od zadań specjalnych, noszący kokietliwa nazwę: Instytut Pamięci Narodowej.
Książka A. Wasilewskiego to budząca szacunek próba stworzenia ruchu umysłowego, bez którego kraj nie opanuje kryzysu politycznego, niszczącego jego siły. Czy będzie to próba skuteczna? Nie wiem! Wynik zależy od zorganizowanych sił lewicy, od potwierdzenia, że są zdolne stworzyć alternatywny program polityczny. Jego źródłem powinien stać się intelektualny ruch, dla którego esej A. Wasilewskiego pełni funkcję drożdży.

***Władysław Loranc**, dr nauk humanistycznych, politolog, historyk, publicysta.*